Nr. 11. Lwów, 1. czerwca 1904. Rok XXVII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Mannlicher redukowany.

Każdemu oddać trzeba uznanie, które mu się należy.

Zasadę tę jednak nie tylko do ludzi musimy stosować, lecz my myśliwi powinniśmy się nią kierować, mówiąc i pisząc o naszych wiernych towarzyszkach — strzelbach. W imię tej zasady więc występuję w obronie redukowanych mannlicherów, tak strasznie w jednym z niedawnych artykułów Łowca potępionych.

Z góry tylko się zastrzegam, że niechcę twierdzić ani udowadniać, jakoby mannlicher redukowany był bronią uniwersalną, tj. najlepszą w każdym wypadku, najodpowiedniejszą dla każdego strzelca. Broń Boże! Jestem wręcz przeciwnego zdania! tu chciałbym tylko udowodnić, że w niektórych wypadkach system ten jest odpowiedniejszym od każdego innego, natomiast zaś chętnie przyznam, że w niektórych okolicznościach mannlicher redukowany musi ustąpić przed innym systemem.

Naprzód rozpocznę od ogólnej uwagi: ideałów na świecie nie ma — więc prawdopodobnie i między sztućcami ich nie znajdzie.

Z kilku przedmiotów, stojących nam do wyboru, wybieramy ten, który posiada najmniejszą ilość wad a największą ilość zalet. Ale i w tem mogą się zdania dzielić, bo to, co ja uważam za zaletę, może ktoś inny uznać za rzecz obojętną, lub nawet złą. Widzimy więc z założenia, że trudno jest, sądząc między dwoma przedmiotami powiedzieć apodyktycznie: ten jest lepszy. Zdaje mi się, że można tylko tak swoją opinię wyrazić: ponieważ moje wymagania są te a te, a więc dla mnie ten przedmiot jest odpowiedniejszym.

Przedstawiwszy Szanownym Czytelnikom podstawę mego rozumowania, będę się starał określić zalety sztućca, któryby można nazwać uniwersalnym. Dopiero sprawdziwszy te żądane zalety, będziemy się mogli zastanowić, które z nich posiada express, które mannlicher redukowany a które mannlicher pełny i Schönauer.

Od sztućca, któryby zasługiwał sobie na nazwę uniwersalnego, powinniśmy żądać następujących zalet:

1. Strzał powinien być centrownym.

2. Kula powinna mieć znaczną chyżość początkową a wskutek tego taką razancyę, aby strzelając na mniejsze i większe odległości nie trzeba było brać muszki raz pełniej, raz cieniej.

3. Zwierz trafiony w szlachetną część ciała powinien zostać na miejscu.

4. Strzał powinien być bez dymu.

5. Kula trafiając zwierza mniejszego n. p. cietrzewia, zająca, nie powinna czynić w nim takiego spustoszenia, by był do użytku nie możliwym.

6. Broń w strzale nie powinna trącać.

7. Zamknięcie i nabijanie broni powinno odbywać się w ten sposób, by szybko i bez najmniejszego hałasu uskutecznić się dało.

8. Budowa lufy powinna być tego rodzaju, by połączyć ją można było z lufą śrótową t. j. by można ją zastosować do drylinga lub büchsflinty.

Przytoczywszy wszystkie te wymagania a ewentualnie zalety idealnego sztućca, zastanówmy się nad każdym punktem z osobna.

Strzał powinien być centrownym. Wobec dzisiejszego postępu rusznikarstwa, w regulowaniu broni kulowej, zadanie to może być równo dobrze rozwiązane przy każdym z czterech powyższych systemów. Nieraz wprawdzie dają się słyszeć głosy, że broń o płaszczach stalowych centrowniej strzela, niż broń o kulach ołowianych, lecz to mylne twierdzenie. Niech za dowód posłuży, że w Niemczech, gdzie bardzo kwitnie strzelanie do tarczy i są ludzie fachowo się temu oddający, wszyscy bez wyjątku używają kul ołowianych. Mógłby ktoś powiedzieć, że to dla tego, że kule stalowe prędzej znacznie niszczą lufy. Mnie się zdaje jednak, że znalazłoby się nie mało strzelców, którzyby i dwie pary luf rocznie zmienili, gdyby mogli kulami stalowemi lepszy rezultat osiągnąć, zwłaszcza tam, gdzie nie raz chodzi o parę tysięcy marek.

Jedną rzecz tylko pamiętać musimy, że im większy kaliber broni, tem trudniej ją uregulować i tem mniej centrownie strzelać będzie. Jednakowoż zdaje mi się, że różnice te aż do wielkości kalibru expressowego 500 są tak minimalne, że nie warto o nich wspominać a faktyczne różnice zachodzą dopiero przy większych kalibrach.

Kula powinna mieć znaczną chyżość początkową a wskutek tego taką razancyę, aby strzelając na mniejsze i większe odległości nie trzeba było brać muszki raz pełniej, raz cieniej. Niema kwestyi, że najbliżej doskonałości pod tym względem stoi system Schönauera; prawie całkiem na równi Mannlicher, po nim dopiero mannlicher redukowany a na końcu express. Zastanówmy sie teraz, do jakiego stopnia jest nam ta razancya potrzebną, czyli innemi słowy, jak daleko ma kula lecieć bez opadu znaczniejszego i jaki opad (bo jakiś opad musi być zawsze) można uważać za maksymalnie dopuszczalny. Zdaje mi się, że na tym punkcie zachodzą wielkie różnice zapatrywań, zależne od tego, jaką pojedynczy myśliwy ma wprawność w strzelaniu i jak dobry wzrok. Trudno mi tu być rzecznikiem innych, pozwólcie więc, bym mówił pro domo sua a będę się starał trzymać się pośredniej drogi. Co do mnie więc, reflektuję tylko na strzał do 200 kroków a to: do 120 kroków do przedmiotów ruchomych a od 120 do 200 wyłącznie do celu stałego. Wobec tego żądam od strzelby, aby *a*) bez żadnej różnicy w celowaniu strzelała centrownie do 120 kroków, dalej abym *b*) przez wizyer mógł strzelić od 120 kroków do 200, niepotrzebując jeszcze dokładniejszego obliczenia odległości i to biorąc równie pełną muszką na 120 kroków, jak i na 200. Przy strzale do odległości 120 kroków jedni nie używają całkiem wizyeru, strzelając po gładkiej szynie, inni znów używają tak zwanego direktion's wizyeru t. j. wizyeru szerzej przeciętego, co ułatwia szybki strzał, lecz ujemnie oddziaływać może na jego precyzyę. Skoro zaś chodzi o strzał ponad 120 kroków, używają prawie wszyscy myśliwi wizyeru właściwego t. j. tak przeciętego, że muszka wypełnia prawie całkiem jego przecięcie, przezco unika się zboczenia w strzale na prawo, lub na lewo. Choćby więc razancya broni tego nie wymagała, to każdy myśliwy strzelając na odległość większą niż 120 kroków, podniesie wizyer dla ułatwienia sobie strzału. Wobec powyższych względów strzelba bijąca centrownie przy równem celowaniu od 1 kroku do 200 nie dawałaby mi większych korzyści.

Schönauer, mannlicher i mannlicher redukowany odpowiadają w zupełności tym wymaganiom. U obu pierwszych systemów opad kuli jest mniejszy, niż u mannlichera redukowanego. Wobec tego jednak, że jak już powiedziałem, po 120 krokach stawiam wizyer, nie stanowi ta wielka razancya dla mnie zalety, lecz jest rzeczą obojętną.

Express żądaniu temu nie odpowiada. Opad jego do 120 kroków jest wprawdzie minimalny, ale poza tą granicą tak się powiększa, że przy muszce normalnej wysokości, skoro na 120 kroków widać w przecięciu wizyera tylko jej górną połowę, to na 200 kroków trzeba całą widzieć, by kula na miejsce przeznaczenia doszła. Jak zaś łatwo można się pomylić w dokładnem ocenieniu odległości, a wskutek tego „wziąć“ muszkę za pełno, lub za cienko, o tem chyba i wspominać nie trzeba.

W ostatnich czasach wyłoniła się nowa kwestya, o której tu przy sposobności wspomnę. Mianowicie dla ułatwienia strzału skonstruowano lunetę. Widząc nią na wielką odległość żądają myśliwi też wielkiej razancyi kuli. I przyznaję im całkowitą racyę, że przy używaniu lunety ideałem jest Schönauer. Jednak jak powyżej się zastrzegłem, mówię tu o uniwersalnej broni a nie o pojedynczych wypadkach jej zastosowania. Komu stać na lunetę, temu też wystarczy i na osobny sztuciec do niej, a że do niej zastosuje Schönauera, z tego nie wynika, aby drugi strzelając bez lunety, także miał używać Schönauera. Dla dokładniejszego wyczerpania tematu ośmielę się jeszcze wypowiedzieć swoje osobiste zapatrywanie o użyciu lunety.

Po pierwsze, jestem przeciwnikiem ciągłego kręcenia lunety, bo luneta raz nastawiona skoro się ją tylko na inną odległość przesunie, nie da się od oka na poprzednią odległość nastawić. Luneta na polowaniu powinna być zaśrubowaną na stałe. Wszelkie nastawiania powinny się w domu przy tarczy odbywać. Do lunety używam redukowanego mannlichera i radzę sobie w ten sposób. Na toku cietrzewi ostrzeliwają lunetę na 120 kroków, mierząc pod czarne. Do 120 kroków celuję więc pod koguta a od 120 kroków celuję w koguta i jeżeli chybię, to tylko z własnej winy. Na kozice ostrzeliwałem lunetę na 250 kroków i używałem jej z dodatnim rezultatem od 150 do 400 kroków,

biorąc niżej lub wyżej, zależnie od odległości, nie wychodząc jednak nigdy z korpusu zwierza. W obec jasnego obrazu, jaki luneta daje, nie sprawia to żadnej trudności, gdy przeciwnie strzelając przez wizyer, można jeszcze wziąć pod zwierza, ale nigdy nad niego.

Niektórzy doświadczeni myśliwi, którzy dobrze wypróbowali lunetę w użyciu, twierdzą, że luneta stale zaśrubowana daje zależnie od oświetlenia, w jakiem się strzela rozmaite strzały, czyli inaczej mówiąc, skoro się jej używa przy innem oświetleniu, niż się ją nastawiło (a oświetlenie nigdy nie jest takie samo), kule padają nie w czarne lecz niżej, wyżej lub na boki. Jest w tem twierdzeniu dużo prawdy, lecz przyjrzawszy się temu bliżej, zobaczymy, że to dla myśliwego ma małe znaczenie. Próby te strzelania przy rozmaitem oświetleniu robiłem na 200 kroków do czarnego o 20 cm. średnicy i przekonałem się rzeczywiście, że kule za każdym razem były w innej części czarnego. Poza obrąb 20 cm. jednak nigdy nie wychodziły strzały dobre. Kule tkwiące w białem były źle strzelone; w chwili strzału wiedziałem zawsze już, żem wyszedł z czarnego. Rezultat ten byłby nieodpowiednim, gdyby chodziło o strzelanie wróbli na 200 kroków, ale skoro się strzela do zwierzyny czworonożnej, lub nawet ptaków wielkości cietrzewia, jest zupełnie wystarczający. Zdaje mi się, że nawet gdyby była taka strzelba, któraby nie miała żadnego „Kugel-streuung" i taka luneta, którąby na 200 kroków można było w oko trafić, to przez to nie wiele lepsze rezultaty by osiągnął, bo po prostu człowiek nie jest w stanie pewny strzał oddać n. p. na 200 kroków, do przedmiotu o 5 cm. średnicy.

Razancya broni ma jeszcze jedną wielką zaletę: im razancya kuli większa, tem mniej zakładać trzeba, strzelając do zwierza w ruchu. Jest to wzgląd wielkiej wagi, zwłaszcza przy polowaniach z nagonką, gdzie nieraz musi się strzelać na wąskiej luce a pociągnąć za cyngiel można dopiero wtedy, gdy zwierz na luce się ukaże. Ze schönauerów i mannlicherów mniej zakładać trzeba, niż z expressów, o tem są chyba wszyscy przekonani. Chciałbym więc tu tylko to stwierdzić, że mannlicher redukowany stoi w tym względzie prawie całkiem na równi z pełnym a znacznie wyżej od expressa. Stwierdzić to mogę tylko przykładami, ale ponieważ i tak jeszcze może ktoś powie: to się tylko tak przypadkiem złożyło, więc ktoby nie wierzył, niech spróbuje na strzelnicy wojskowej we Lwowie strzelać do ruchomego dzika na przemian raz z expressa, raz z manlichera redukowanego; naturalnie mierząc taksamo z jednej, jak i z drugiej broni. Jeżeli kule z expressa będą na łopatce, to kule manlicherowskie będą na głowie a czasem nawet i w ryju. Jako przykłady z mej strony przytoczyć mogę następujące fakta: Zanim zacząłem strzelać z redukowanego manlichera, strzelałem do dzików z expressa. Prawie nigdy mi się nie zdarzało, w tych wypadkach, gdzie mogłem przez chwilę prowadzić dzika w złożeniu, abym strzelił poza łopatkę lub komorę, lub też przed łopatkę, lub w ogóle przed dzika. Stałym błędem, jaki zawsze popełniałem, było górowanie, ale prawie nie pamiętam, bym kiedy za mało lub za dużo założył. W roku, w którym zacząłem używać mannlichera redukowanego, strzeliłem pięć dzików tak dalece w przód, że rozchodziło się prawie o centymetr a byłby tylko „streif". Tego roku wziąłem dwa razy express i mam już minus dwa dziki, bo oba w zad strzelane. Prócz tego mogę powiedzieć, że udało mi się z mannlichera redukowanego takich kilka strzałów na wązkich lukach, iż twierdzić mogę z pewnością, że z expressa nigdy nie byłbym trafił w tych warunkach.

Zwierz trafiony w szlachetną część ciała, powinien zostać na miejscu. Kwestya ta jest najtrudniejsza do omówienia, bo o jej rozstrzygnieniu stanowić może tylko suma pojedynczych wypadków, które znów niemal każdy myśliwy będzie miał inne, stosownie do zmienionych okoliczności, na pozór nieraz całkiem niedostrzegalnych. Wyjątki zawsze wszędzie się zdarzają, więc może tu rozstrzygać tylko większa ilość wypadków. Mojem zdaniem najlepiej t. j. najbardziej na miejscu zabijają expressy a znacznie gorzej wszystkie inne systemy broni o stalowych płaszczach na kuli. Kule ołowiane znów tem prędzej działają, im większy kaliber przy odpowiednio do kalibru powiększonej dawce prochu. Kule stalowe często robią takie niespodzianki, że zwierzyna dobrze strzelona idzie a całkiem źle trafiona czasem ruluje i podnieść się już nie może. Tak samo z expressa trafiona byłaby nawet może nie rulowała a przynajmniej zaraz by się podniosła. Co do redukowanego mannlichera, w porównaniu z pełnym i z schönauerem, to miałem z nim mniej niespodzianek, niż przy tamtych obu systemach, t. j. rzadziej dziki na łopatkę strzelone uciekały i rzadziej zwierz w zad trafiony, rulował. Nie będę się tu bawił w żadne teorye, dlaczego która kula tak zabija a druga inaczej, bo nie rozumiejąc się ani na balistyce ani na anatomii, nie mogę powiedzieć, jakiego dzieła zniszczenia potrzeba, by jak najprędzej zwierz był do ruchu niezdolny i ograniczę się na przykładach. Na dowód, że pełne mannlichery źle działają, niech następujący przykład posłuży:

Otropiłem stado dzików w zapuście graniczącym ze sekcyą 80-morgową starej rzadkiej dębiny bez podszycia. Dziki stale wekslują przez tę dębinę na środek linii a tu ewentualnie zawrócone obkładają dębiną na koniec drogi i pod samem polem przez nią wekslują. Staję więc przed dębiną i każę gonić. Z daleka widzę już, jak stado ze 16 sztuk złożone wyskakuje z zapustu i zwalniając tempa, na sztych na mnie idzie. Stają na 30 kroków przedemną. Na przodzie olbrzymi odyniec taki, jakiego tylko chyba jeszcze kameralne lasy Wołynia wychować mogą. Strzelam do niego na połeć. Dzik utknął, zawrócił a za nim cała czereda. Z drugiej lufy walę w kupę i jeden dzik ruluje. Teraz nogi za pas i od pola! Zabiegłem na czas i widzę na 200 kroków dziki prosto na mnie idące. Na przodzie idzie odyniec i kuleje na lewą nogę. Na 50 kroków strzelam do niego raz. Nie naznaczył zupełnie, tylko trochę tempo przyspieszył. Wbrew zasadzie, aby nie strzelać dwa razy do tego samego dzika, gdy stado idzie, walę do niego drugi raz, bo mi zanadto na jego szablach zależy. Dzik sunie dalej. Nabijam szybko i skoro dzik na 20 kroków odemnie linię przechodzi, składam się, by mu czwartą kulę posłać. W tej chwili wali się na przód i w tej pozycyi zostaje; strzelam więc do reszty dzików. Jeden w ogniu ruluje, drugi umyka, silnie farbując. Idę do odyńca, który tymczasem już się położył ale jeszcze kłapie i głowę podrywa i konstatuję następujące strzały: pierwsza kula z lewej strony, nisko w łopatce. Okazało się przy obielaniu, że kula łopatkę przebiła, zaczepiła serce od dołu i na drugiej łopatce się zatrzymała. Druga i trzecia kula z prawej strony, jedna na środku łopatki, druga na komorze. Po każdej z nich powinien był dzik rulować; tymczasem po wszystkich trzech namyślał się jeszcze co robić i lecąc już tak się podrywał, że musiałem go dobić czwartą kulą za ucho. Skoro go tylko dobiłem, słyszę ogromny rwetes w tem miejscu, gdzie pierwszy dzik leży.

Biegnę więc z powrotem i widzę dzika siedzącego na zadzie a młynkiem koło niego trzy jamniki się kręcą i naszczekują. Miałem je w sankach, bo chciałem potem na jamy jechać, a furman widząc zdala leżącego dzika, puścił je, by mu się z bliska przypatrzyły. Skoro jednak któryś z odważniejszych go skubnął, dzik wstał i począł się opędzać. Dobiłem więc i tego i pokazało się, że dostał kulę z tyłu w szynkę. Wyszła mu bokiem, nie expandując i nie zaczepiając kości. Dzik w ten sposób z expressa strzelony byłby tylko słabo naznaczył i poszedł na cztery wiatry; z mannlichera ten zrulował a duży odyniec z trzema dobrymi strzałami szedł jeszcze spory kawał. Czwarty dzik postrzelony przedostał się szczęśliwie dla niego na Wołyń, ale i mimo tego rozkład był ładny, bo duży odyniec i dwa wycinki tak wielkie, że gdzie indziej by je odyńcami nazwano. Strzelałem z mannlichera podwójnego, kupionego u Springera, kulami o pół płaszczu stalowym, normalnym ładunkiem prochu (t. j. 27 gr.).

Przytoczyłem tu wypadek, z którego się okazuje, że mannlicher pełny niekorzystnie się wywiązał ze swego zadania. A teraz choć chciałbym bronić redukowanych mannlicherów, muszę przyznać, że i tym systemem broni strzelana zwierzyna dalekie czasem wędrówki odbywa. W czasie ubiegłego rykowiska strzelałem do bardzo silnego jelenia z góry na dół, na sztych. W strzale jeleń mi zniknął. Usłyszałem tylko łomot i trzask rogów o buki, a że las był wysoki bukowy, bez podszycia, więc odstępując od reguły wyczekiwania, aż zwierz chory oblegnie, podbiegłem w kierunku, w którym się oddalał. Przebiegłszy jakich 300 kroków, ujrzałem jelenia idącego stępo wskos góry. Zwolniłem zaraz kroku i kryjąc się za bukami począłem się za nim posuwać z mocnem postanowieniem nie opuszczenia go aż do śmierci. Jeleń szedł wolno i silnie chwiał się na nogach; zawadził o jeden buk, odbiwszy się od niego wsparł się przeciwnym bokiem o jodłę, aż nareszcie obległ. Podsunąwszy się na 40 kroków strzeliłem do leżącego a skoro pomknął, w biegu posłałem mu drugą kulę. Tym razem poszedł susami wprost z góry na dół do głębokiego jaru, którego dna nie widziałem wprawdzie, ale przeciwny stok mogłem wygodnie ostrzeliwać. Czekam więc na miejscu, spodziewając się, że mi się tam ukaże. Po dłuższej chwili słyszę na dnie jaru stękanie; podchodzę więc ostrożnie i widzę jelenia leżącego w potoku. Badyle zebrał pod siebie, głowę trzyma wzniesioną i patrzy na mnie. Strzelam czwarty raz, mierząc wysoko w łopatki. Po strzale jeleń zerwał się na równe nogi i stoi jak posąg, nie spuszczając oka ze mnie. Wyznaję, że w pierwszej chwili tak zgłupiałem, że nie dużo brakowało, a byłbym skoczył na dół, by go za rogi łapać. W tej samej sekundzie jednak oprzytomniałem a myśl, że tylko już jeden ładunek posiadam, całkiem mnie wytrzeźwiła. Dla pewności postawiłem wizyer, siadłem na ziemi i „zrobiłem mu koniec“ kulą za ucho. Emocya, jaką miałem, gdy się ostatni raz zerwał, była całkiem bezpodstawną, bo tak zastrzelony jeleń nie mógł daleko już posunąć, ale myślę, że zrozumie mię każdy, kto w mojem położeniu się postawi. Przedemną jeden z najsilniejszych jeleni, jakie widziałem, a tu kule moje wprost uzdrawiająco, na pozór przynajmniej, działają.

Pierwszą kulę miał na sztych nieco ku bokowi. Drugi i trzeci strzał był na łopatce i w komorze. Czwarty na łopatce wysoko. Powiadają, że to najśmiertelniejszy strzał i że jeleń wysoko na łopatkę strzelony, pada na miejscu. Widać, że „umgekehrt ist auch gefahren“.

Oba te wypadki, które powyżej przytoczyłem, nie są wyjątkiem; mógłbym ich cały szereg wyliczyć. Gdy je w myśli przechodzę, to utwierdza to mnie w przekonaniu, że kule stalowe nie są jeszcze ostatniem słowem w rusznikarstwie i dużo trzeba będzie w całym ich systemie zmienić, by nie tracąc innych korzyści jakie mają, tak dobrze działały, jak nasze poczciwe expressy.

Takich wypadków jak te, co przytoczyłem, nigdy na miocie nie miałem sposobności widzieć, używając expressa. Zdarza się wprawdzie czasem, że zwierz z najlepszym strzałem (zwłaszcza na łopatkę) zrobił jeszcze siłą rozpędu kilka lub nawet kilkanaście skoków, lecz zrulowawszy, kończył na miejscu. Nigdy się już nie podrywał. Nieraz wprawdzie zwierz strzelony z expressa poszedł jeszcze milami lub całkiem przepadł, lecz ilekroć udało mi się go dojść, zawsze bez wyjątku okazało się, że był źle strzelony, w miękkie i kula nie zaczepiła żadnej szlachetnej części organizmu.

Raz jeden tylko express zawiódł mię i to strasznie. Na jednej z niewielu ponów tegorocznych miałem otropionego odyńca w Świtarzowskim lesie. Po rozmaitych nieudałych zachodach, wyszedł doskonale bo na czystem i nie dalej jak na 20 kroków, ale w pełnym pędzie. Strzeliłem dwa razy i dzik zniknął mi z oczu. Leśniczy, który prawie tuż za dzikiem z miotu wyszedł i widział go w chwili strzału, zauważył, że dzik tak utknął, jak gdyby już miał zrulować. Na miejscu strzału znaleźliśmy szczeć i to nie wyrwaną, ale przeciętą. Więc kula w dziku. Ponieważ już dzień ku schyłkowi się zbliżał, nie bawię się w dalsze tropienie, lecz ruszam za śladem. Uszedłszy spory kawał, widzę trop skręcający ku wysokiemu lasowi a po lewej stronie, na krawędzi dębiny małą halawkę porosłą tarniną. Jakby przeczuciem tknięty, staję i wyjmując binokle spoglądam, w którą stronę trop idzie. Naturalnie na tarninę! Zbliżyć się nie mogę, bo drugą stroną wyskoczy i nawet się nie złożę. Myślę sobie, trzeba go tu inaczej wywabić i wołam na głoś: „wyłaź przyjacielu“, a dzik jak na komendę głowę podnosi. Dobiłem go szczęśliwie i oglądając, widzę pierwszą kulę na samym środku łopatki w tem miejscu, gdzie na kości jest wypukłość.

Ponieważ strzelałem za dzikiem, kula przyszła na łopatkę pod ostrym kątem, a że właśnie na wypukłość trafiła, o tyle kąt był mniejszym. Wskutek tego zdeformowała się i usunęła ku przodowi nie naruszywszy kości. Łopatka była zupełnie nie uszkodzoną i dzik byłby się pono dalszem zdrowiem cieszył.

To znów, przyznać trzeba, nie wydarzyłoby się kuli stalowej, lecz winien temu tylko zbieg okoliczności, wedle którego sądzić nie można. Wspominam jedynie dlatego o tem, że mimowoli na myśl się nasuwa, czy nie podobnie nieraz się dzieje, skoro myśliwy zrozpaczony tłómaczy towarzyszom: „wyszedł doskonale, strzeliłem matematycznie, no a dzik poszedł. Dyabli wiedzą! pewnie kula się gdzie od gałęzi odbiła“. A często może to być winą rusznikarzy, bo zanadto czułą expansę robią w stosunku do ładunku prochu, tak, że pocisk już expanduje na pierwszej twardej przeszkodzie i nie dostaje się całkiem do wnętrza.

Zestawiając więc to, com widział i słyszał, a czego podane przykłady są tylko ilustracyą, doszedłem do tego przekonania, że najbardziej szybkozabójczą bronią jest express, potem mannlicher redukowany, a potem wszystkie inne systemy, które tem gorzej działają, im większa jest razancya w połączaniu z małym przekrojem kuli.

To ostatnie twierdzenie mogę udowodnić, choć wprawdzie nie teoretycznie, ale z doświadczenia. Otóż przekonałem się, że najlepsze rezultaty były po tych kulach, które nie rozpryskiwały się w zwierzu, lecz pozostawały w postaci grzyba. Skoro u expressa jest dobry stosunek expansy kuli do ładunku prochu, to prawie bez wyjątku odnaleść można kulę zdeformowaną, ale nie rozpryśniętą. U mannlichera redukowanego bardzo często się znajduje całą kulę przy użyciu pół ołowianych płaszczów. Kule o $^1/_8$ ołowiu za mało się deformują. Już u mannlichera pełnego trudniej znaleść w zwierzu kulę całą a wydarza się to wyłącznie tylko przy użyciu kuli o $^1/_8$ ołowiu; kule zaś o połowie płaszcza zawsze się rozpryskują i gorzej działają. Do Schönauera, który ma największą razancyę a najmniejszy przekrój, całkiem już kuli nie można dobrać, bo nietylko ołów się rozpryskuje wskutek ogromnej siły pocisku, ale nawet stal z płaszcza pęka w drobne cząstki i rozchodzi się na wszystkie boki. Że w ten sposób strzelona zwierzyna trudniej się z rany wyliże, niż strzelona pociskiem deformującym się, ale nie rozlatującym się, nie ma kwestyi; przekonałem się jednak stanowczo, że co do prędkości skutku, to rzecz ma się całkiem odwrotnie, a mianowicie, że prędzej działają pociski nie rozpryskujące się. Za dowód mogą posłużyć także t. zw. „fünftheilige-Spaltkugeln“, które na dziki czasem tak działają, jak śrót i to nr. 10.

Strzał powinien być bez dymu. Na to każdy się zgodzi. Ogromne ułatwienie w dublecie i o tyle łatwiej obserwować można zwierza w chwili strzału.

Ale jeszcze o jednej korzyści wspomnę, odnoszącej się specyalnie do polowania na jelenie, a o której dowodnie się tego roku przekonałem. Każdy wie o tem, że jeleń postrzelony umyka wprost z góry na dół. Ponieważ zaś echo w górach tak zwykle odgłos strzału odbija, iż zwierzynie się zdaje, że strzelano z przeciwnej strony, niż w rzeczywistości, przeto myśliwy, któremu wiatr dozwoli zejść jelenia od dołu, ma tę wielką szansę, że w razie postrzelenia jeleń wprost na niego przyjść może, jeżeli go dym nie ostrzeże, skąd niebezpieczeństwo grozi. Gdy strzelałem do jeleni dymnym prochem, nigdy mi się to nie zdarzyło.

W tym roku używałem redukowanego mannlichera i aż dwa razy jeleń przyszedł mi literalnie pod nogi, jakby z prośbą o drugą kulę. Jeden z nich był wprawdzie bardzo daleko strzelony, ale drugi stanowczo nie dalej jak na 20 kroków; a jestem przekonany, że gdyby był dym zobaczył, nie byłby wprost na mnie skręcił. Oba jelenie były trafione pierwszą kulą; jeden w nerkę, drugi w łopatkę.

Kula trafiając zwierza mniejszego, nie powinna w nim czynić takiego spustoszenia, by do użytku był niezdatnym. Mówiąc o użytku, myślę albo o zapotrzebowaniu na cele kulinarne, albo o zachowaniu skóry lub wypchaniu. Tu rozróżnić trzeba dwa wypadki t. j. zwierzynę dającą bardzo mały opór (cietrzew, głuszec) i zwierzynę dającą średni opór (kozioł). W obu wypadkach najprzyzwoiciej zachowuje się mannlicher redukowany, skoro się do małej zwierzyny używa kul o $^1/_8$ ołowiu, a do średniej, o połowie ołowiu. Express kozłów bardzo nie deformuje, zato cietrzewia można czasem w trzech kawałkach podnieść. Mannlicher pełny i Schönauer do drobnej zwierzyny są niemożliwe do użytku, gdyż kula o najmniejszej cząstce ołowiu szarpie je w drobne kawałki a pełną strzelone daleko od miejsca strzału zostają. Nawet wrony pełnemi kulami strzelone lecą po paręset kroków.

W użyciu do kozłów mannlicher o $^1/_8$ ołowiu jest całkiem dobrym, za to Schönauer przy każdym systemie kuli silnie bardzo je rozdziera.

Broń w strzale nie powinna trącać. Nie wiem, czy dla wszystkich Towarzyszy św. Huberta ten wzgląd jest ważnym; co do mnie, to jestem pewien, że gdzie chodzi o dokładny strzał n. p. cietrzew, kozioł na podchodnem, to mając broń silnie trącającą, będę miał rezultat strzałów o 25% gorszy, niż z broni, do której mogę śmiało twarz przyłożyć i z każdej pozycyi wygodnie strzelić. W tym wypadku wszystkim systemom kul stalowych należy się pierwszeństwo przed expressem. Z pomiędzy zaś wszystkich systemów broni o płaszczach stalowych najprzyjemniejszy strzał daje mannlicher redukowany.

Zamknięcie i nabijanie broni powinno się odbywać w taki sposób, by szybko i bez najmniejszego hałasu uskutecznić się dało.

Co się tyczy szybkości nabijania, to pewnie, że każdy system repetierowy prym wodzi. Jednak korzyści, jakie ten daje, są znacznie osłabione przez to, że nie można dwóch strzałów bezpośrednio po sobie oddać i chcąc nowy ładunek do lufy wprowadzić, trzeba trzasnąć zamknięciem strzelby i to tem silniej, im prędzej się chce do drugiego strzału przysposobić. Nieraz byłem w tem położeniu, że po strzale zwierz stanął; rzadko wtedy drugą kulę zmarnowałem, a gdybym był musiał repetować, to prawdopodobnie do drugiego strzału całkiem byłbym nie przyszedł. Choć zwierz pierwszą kulą chybiony stoi, to stoi on tylko dla tego, by zmiarkować, co się stało, skąd niebezpieczeństwo grozi i za pierwszym podejrzanym szelestem pomyka w przeciwną stronę. Jeszcze częściej zdarza się tak, że jest wprawdzie czas dać drugi strzał z dubeltówki a niestarczy go, gdy trzeba odjąć strzelbę od twarzy, repetować i znowu się złożyć. Zdaje mi się, że byłbym w stanie strzelić prędzej z drylinga trzy razy, nota bene porządnie mierząc, niż z repetyera dwa razy.

Wobec korzyści, jakie daje bezpośredni drugi strzał, zdaje mi się, że można łatwo zrezygnować z następnych, które i tak zwykle bywaja pudłami. Jedynie przy jeleniach zdarzało mi się słyszeć o trafnych pięciu lub nawet sześciu strzałach, ale, choć twierdzić tego nie mogę, wydaje mi się, że skoro jeleń tak szedł, że otrzymał następne kule, to można mu je było posłać także z dubeltówki a prawdopodobniej jeszcze były całkiem niepotrzebne, bo i po pierwszej kuli byłby został. Są naturalnie wyjątkowi strzelcy, ale oni, jako tacy, mogą mieć wyjątkową broń, a my mówimy o przeciętnych strzałach i broni, o ile możności uniwersalnej.

Powyższym wymaganiom odpowiadają tylko express i mannlicher redukowany, gdyż tamte oba systemy, jak poniżej będzie o tem mowa, dają się tylko w postaci broni repetyerowej używać.

Budowa lufy powinna być tego rodzaju, by połączyć ją można z lufą śrótową t. j. by można ją zastosować do drylinga lub bücksflinty.

Punkt ten jest tak ważnym, że sam przez się mógłby już stanowić o wyborze systemu kuli. Mało jest polowań takich, a ośmieliłbym się powiedzieć, że całkiem ich nie ma, gdzieby broń śrótowa była nie potrzebną. Może jedynym wyjątkiem jest rykowisko jeleni, ale i to nie zawsze, bo kto ma jarząbki w rewirze lub możliwość spotkania rysia lub wilka, ten chętnie chodzić będzie z trzecią śrótową lufką.

Temu zadaniu odpowiada tylko express i mannlicher redukowany. Wszystkie inne systemy są niemożliwe a dowodzi tego ilość wypadków, które się zdarzają i to, co rusznikarze sumienni mówią. Przytaczam tu zdanie J. Nowotnego z Pragi, który powiada: „na żądanie mogę umieścić w drylingu mannlicher pełny; co do wytrwałości i bezpieczeństwa broni nie biorę żadnej odpowiedzialności“. Podobnie też odpowiedział mi Springer. Odnosi się to specyalnie do mannlichera pełnego, gdyż Schönauera jeszcze na szczęście nie zaczęli konstruować w innem zestawieniu, niż wynalazca go zbudował.

Omówiwszy warunki broni uniwersalnej z osobna, podaję zestawienie sumaryczne, znacząc + broń celowi odpowiadającą, a — broń nieodpowiednią:

warunki	exp.	red. man.	peł. man.	Schön.
1	+	+	+	+
2	—	+	+	+
3	+	—	—	—
4	—	+	+	+
5	—	+	—	—
6	—	+	+	+
7	+	+	—	—
8	+	+	—	—

Wedle powyższego zestawienia daje mannlicher redukowany największą ilość punktów dodatnich.

Chcąc jednak być bezstronnym, przyznać trzeba, że ten jeden punkt ujemny, a mianowicie, że nie tak dobrze a raczej nie tak prędko zabija jak express, może sam przez się stanowić o tem, że ktoś expressa trzymać się będzie. Choć sam wyłącznie używam mannlichera redukowanego, przyznaję, że kto poluje głównie z nagonką, powinien trzymać się expressa, bo inaczej czy wcześniej czy później, dużo zgryzoty z dzikami mieć będzie.

Konstanty Kownacki.



Z toku głuszców.

Zwierzyniec Pilawiński.

Wezwany telegraficznie z Wiednia przez hr. Józefa Potockiego, na 1. maja b. r. na toki głuszców do lasów Piszczowskich, na Wołyniu, odłożyłem na później załatwienie wielu spraw ważnych, odpowiadając natychmiast potakująco: gdy właściciel świetnych polowań pragnie się z bratem w św. Hubercie rozkoszą myśliwską podzielić, trzeba zawsze rolę Zawiszy odegrać, — trzeba, żeby gospodarz mógł pomyśleć: „liczę na niego, jak na Zawiszę, to jest towarzysz pewny, jeżeli tylko może, przyjedzie“. Odmawiać niebezpiecznie — zaproszenie w przyszłości wątpliwe, będą się oglądać za nowym adeptem łowieckiej sztuki, gdyż tamten, dawniej wzywany, niepewny. Zresztą pokusa była zbyt wielką: nie odmawia się zaproszeniu na tok głuszców, podobnie jak się skwapliwie przyjmuje wezwanie na rykowisko jeleni; są to, nikt nie zaprzeczy, dwa szczyty w łowieckiej dziedzinie, dążmy tedy ku szczytom: jazda na Wołyń!

W Szepetówce raporta o tokach podgryzają wielkie nadzieje: koguty przestały tokować, z powodu spóźnionej pory; ależ nie trzeba tak zaraz zwątpieniu dać się ogarniać: Szepetowieckie lasy, dawniej w głuszce bogate, dziś nie są miarodajne; jeżeli tych kilka znanych tu głuszców tokować przestało, nie wynika przecież z tego, by matnia prawdziwa w dalszych borach, bardziej ku północy wysuniętych, a z Polesiem już prawie graniczących, miała nam tak dotkliwy sprawić zawód — i jako żywo, nie sprawiła.

Istotnie była to ostatnia chwila na tego rodzaju polowanie. Kury już dawno na gniazdach siedziały, jednę nawet ruszono, siedzącą na sześciu jajach. Ciekawem tedy spostrzeżenie: był to tok bez toku, było nawet gorące wynurzanie miłosnych zwierzeń, lecz bez przedmiotu, mającego je przyjąć do wiadomości; miejsce turnieju, opanowane wyłącznie przez walczące, stare koguty, zwycięskie, cieszące się opanowaniem placu boju a tryumfalne pieśni wygrywane, wspomnieniem chyba niedawno przebytych rozkoszy?...

Otóż głuszce grały, lecz nie tak zawzięcie, nie tak wytrwale, jak w pełni toków, a przedewszystkiem krótko: rozprawiwszy się z jednym, i to wcześnie, uprzedzając dnia brzask, już się wiedziało, że tego poranku cisza zapanuje nad tokowiskiem; o podchodzeniu drugiego mowy nie było.

Tylko dzięki znakomicie w to polowanie wprawionej służbie leśnej, znającej nieomal sosny, na których zapadające wieczorem głuszce, rano tokować będą, udało się osiągnąć, w tak krótkim czasu przeciągu, wynik pomyślny. Niemniej nadmienić należy, iż chociaż od lat dziesięciu tu nikt na głuszce nie polował, przecież sztab leśny nie ustawał w gorliwem wypełnianiu obowiązków, w przewidywaniu upragnionego pojawienia się właściciela, nie zrażony długoletniem wyczekiwaniem. Wyszkolenie zaś tego sztabu, na pamięć mistrzów przywodzi: dość powiedzieć, że przez szereg lat polował tu nieodżałowany ś. p. hr. Artur Potocki i inscenizator tego tu polowania, J. E. hr. Roman Potocki.

Dziwną była nierówność grania kogutów; zdarzały się poranki, w których wcale pieśni dosłuchać się nie było można, albo, zaledwie w pierwszych akordach, posłyszana, upragniona gra dalej milkła zupełnie, tak, że o podchodzeniu mowy nie było. Hr. Potocki n. p., który mnie znacznie lepszy rewir odstąpił, w myśl staropolskiej gościnności, cnoty zawsze u hr. Józefa obficie kwitnącej, podchodził prawdziwie tylko jednego głuszca, i tego zabił, inne zaś albo wcale nie grały, albo urywały po kilku pieśniach, w nocnych jeszcze rozbrzmiewających przestworzach.

1. maja, godzina 2·27 według czasu środkowo-europejskiego; to było tak dokładnie obrachowane, że idąc 10 minut od domku myśliwskiego „Hullanka“, wkraczało się w przestrzeń przez toki objętą, z chwilą pierwszej odzywki królewskiego ptaka. Kto ją naśladować potrafi? nawet tę pierwszą (nie mówiąc już o samej pieśni, która w dziwnej swych tonów elukubracyi, zupełnie nie jest uchwytną), wcale się nie kuszę.

Telękanie porównałbym chyba do odgłosu przy ocieraniu przez ptaka dzióba o szczebel, ale o szczebel trzcinowy, wewnątrz pusty, gdyż echo donośne. Już po uwerturze, a pieśń, czy nastąpi? Słychać ją; gra artysta, gra tak tajemniczo, misternie, przedziwnie; nie jest to piękne, nie melodyjne, ale tak przejmujące, a przedewszystkiem dziwne. Co ten kogut wyrazić pragnie? Na jakieś nadptasie w pieśni porywa się wysiłki, krztusi się, jąka a może biada, że on, król naszych ptaków, indyczy ogrom, nie może donośniejszego z siebie wydobyć głosu!? Skazany jest na tę rzewną, cichą odzywkę, bez nadziei silniejszego tonu, o zakończeniu również nieuchwytnem, nieco tylko wydatniejszem, będącem jak gdyby wskazówką dla myśli-

wego, że z ostatnim akordem, ostatni należy krok uczynić, z tym akordem w słup się zamienić — nie istnieć — inaczej kogut wygrał — wygrał ucieczką.

Podskakuję ostrożnie, wolę sobie powiedzieć, postąpię tylko dwa kroki, no, utarguję jeszcze pół, ale nie więcej — krok trzeci może być niebezpiecznym... już w brzasku rannym czerni się cień olbrzymiego ptaka, na niskim, tym razem, konarze odwiecznej sosny... ale cóż to? czyżbym sobie był pozwolił na ten krok trzeci i lekkomyślnie powiadomił głuszca o swojej obecności? czyżby gałązka, podczas pieśni złamana, niefortunny jeszcze później wydała trzask?

Nie wiem, do winy się nie przyznaję — a przecież mój pan kogut w ciszy się pogrążył! Widzę cień jego poważny, niepomiernie wydłużony w kształcie butelki — nieinaczej „robi butelkę“, grać już nie będzie; albo w mgnieniu oka się zerwie, albo w postaci butelki siedzieć tak będzie w nieskończoność. Być może, że wcale nie spłoszony, co najprawdopodobniejsze, ale gry już ma dosyć; już się nasycił wspomnieniami — trzeba mu myśleć o śniadaniu, ale na nie jeszcze za wcześnie.

Niechybnie tak myśli głuszec; dobrze — on ma program działalności wytknięty, ale ja! w niewygodnej pozycyi, o drętwiejącej nodze, cóż ja mam czynić? Na strzał za daleko; strzelać do cienia i to dalekiego, ptak nadto szlachetny, by nie po myśliwsku z nim postąpić — a więc co czynić? co dalej?

Decyzyi, koniecznie decyzyi:

Stało się! Trzeba strzelić — innego wyjścia nie ma — i dobrze się stało: stary, wypróbowany szermierz legł opodal.

2-go maja zastaję na scenie gracza świetnego; gra tak, jak gdyby w pobliżu, liczne jego wielbicielki nagrodą go darzyć miały, albo przypomina sobie niezliczone rozkosze, z niedalekiej pobrane przeszłości, niemi się odurzyć pragnie, ich żałuje, że nie tak prędko przypadną mu znowu w udziale.

A więc kroczę śmiało, pragnę nietylko strzału, ale widoku tych niezrównanych, dziwacznych ruchów, tych kontorsyi, tych rozpraw o bogatej mimice, brody, czuba i niespokojnych łap. Otóż danem mi jest, że widzę to wszystko; dopadam sosny, stojącej opodal tej, na której wysoko pod koroną rozprawia kogut, a mam to miłe przekonanie, że dalej iść nie potrzeba, strzał na metę odpowiednią, a przedtem nasycić sie mogę żądanemi wrażeniami. Więc widzę: i nagięcie brody przed samem telękaniem i rozpuszczanie skrzydeł i wachlarz z ogona zrobiony, jak gdyby podług wzoru Rodeck'owskiego na Kohlmarkt'cie wiedeńskim i najkomiczniejsze hiszpańskie kroki na przestrzeni pół metra gałęzi. Nie wiem tylko, czy mój pan kogut stawia łapy, przy tem cyrkowem ćwiczeniu, jednę za drugą, w zwykłym porządku, czy też, urozmaicając sobie w ten sposob repertoar, przekłada je na krzyż? Tego ostatniego szczególnie nie mogłem dopatrzeć... było za ciemno?! Ale już dość nasyciłem się tym niezapomnianym widokiem; trzeba dążyć do rozwiązania dramatu. Lecz cóż to? las rozbrzmiał naraz przejmującem echem, skowyt to straszny, szczekanie jakieś złowrogie, w niczem niezamąconej, rozchodzące się ciszy nocnej — jak gdyby z kilku psów naraz żywcem darto skórę!...

Lisy! naturalnie lisy! i tu nawet muszą, nie proszone, trzy swoje wścibić grosze, przywieść na pamięć, że gdzie o kurakach mowa i te szkodniki się nadstawiać zwykły. Jakże tę orgię przyjął delikatny słuch mego kuraków króla? Przestraszył się — nie mogło być inaczej; wszak w tym skowycie najgroźniejszego wroga poznał odgłos; nie — nie najgroźniejszego — „ja na drzewie, lis na ziemi, można się z miejsca nie ruszyć“. On musi wiedzieć, że człowiek groźniejszym: gdybym tak teraz był jakikolwiek niewczesny ruch uczynił, pewnie bym się był z głuszcem pożegnał a skowytu lisiego kurak przecież się nie przeraził. Miałem jednak dość tej próby: od szczekania lisiego głośniejszy odgłos ludzkiej broni: las się zatrząsł, ziemia jękła pod ciężarem spadającego, borów skrzydlatego króla.

I to stary głuszec o wydatnej brodzie i licznych, białych w ogonie plamach, „w dobrej bieliźnie“, jak tam mówią.

„Na zapadzie“ głuszca zabić, to nie tak często się zdarza: celem bowiem wieczoru jest osadzenie koguta na jutro; trzeba spotkania i to wybitnego — a że ono, widocznie, według rozkazu św. Huberta, niepospolicie mnie na tej wyprawie łaskami swemi darzyło, i o wieczornej porze miłych doznałem wrażeń. Już kukułka, po raz ostatni, pięciokrotną seryę wykukała — (czyżby na starość przesądnym się trzeba zrobić? pięć razy na dobranoc kuka? czyż nie za śmiałem proroctwo dla mnie, iż pięć na tej wycieczce zabiję głuszców?) — już drozd-śpiewak ostatnią z muzykalnego wyciągnął pieśń gardziołka, już wszystkie cichną muchołówki i pokrzywki, już ziemba ostatni w przestwór posłała tryl, już żuki basowym się słyszeć dają pomrukiem (najpewniejsza chwila zapadania głuszców na noc), tylko rogacz w najlepsze jeszcze beczy w oddali — a moje „wysłuchy“ dotąd niefortunne, żadnego głuszca dotychczas na jutro nie osadziłem — gdy w tem z tyłu, z szybkością pioruna idąc w zawody, z donośnym szumem coś nagle przypada i z ogromnym łoskotem w sosnę, siadając, wali. On, oczywiście, on, ten wyczekiwany, wielki, czarny — ale gdzie? zupełnie z tyłu — słuch mówi, że to niedaleko, na strzał, ale z tyłu!

I znowu rozgorączkowana wyobraźnia szybkiego pragnie planu, postanowienia. Nie podobna nic uradzić, trzeba najpierw starać się dojrzeć ptaka; bo gdyby siadł dalej — i owszem: nie o strzale się tu myśli, przedewszystkiem o jutrzejszy chodzi poranek: głuszec tu jutro najpewniej tokować będzie — ale jak się stąd wycofać, by go nie spłoszyć, jak się wysunąć z tak bliskiego sąsiedztwa najostrożniejszego z ptaków? Przedewszystkiem dowiedzieć się, gdzie siedzi, oto początek kampanii. Na szczęście krzesełko się wraz ze mną obraca; o pół tylko proszę obrotu, trzy ćwierci co najwięcej, a cichutko, bo mój czarny pewnie w tej chwili najdokładniej bada swoje stosunki noclegowe. Zdobyłem trzy ćwierci obrotu; mała zdobycz — ale słuchu zmysłem dając się powodować, domyślam się, że siąść musiał w wieńcu starych sosen, o radości! na strzał, nie bliski wprawdzie, ale możliwy. Nic jednak nie widzę, — oczywiście siadł z drugiej strony grubego pnia. Teraz św. Hubercie, albo Dyano-sylwanko, albo ty wreszcie pięciokrotna kukułko, ratuj! Otóż i ratunek zesłany: lekkomyślnie, widocznie obrał swój fotel głuszec, chociaż aż trzy razy zastękał z zadowolenia, siadając; nie pomny zasady „le mieux est l'ennemi du bien“, poprawia się, a przy tej poprawce, o przedziwne szczęście, pokazał mi głowę. To wystarczy, poniżej musi mieć resztę; myśl i strzał, to pojęcie jedno. Zerwał się najtwardszy z kuraków z niemniejszym, jak przy siadaniu hałasem, ale uważam, że miasto w dal lecieć, ku sąsiedniej zmierza sośnie. To już dobrze! Pragnie usiąść, trafia na liczne suche gałęzie, łamie ich moc wielką i z niemi razem wali się do ziemi. Nie

wiem, gdzie padł, ale słyszę wyraźnie ostatni łoskot. Nie dowierzam kurakom, wiem, że skrzydeł pozbawione, skutecznie ocalenia szukają w pieszej ucieczce, więc pędzę do miejsca, w którem powinien leżeć: — mgłą smutku oczy zachodzą: już go nie ma! Jakto? czym zmysły postradał? przecież pędząc tak szybko, w przeciągu kilkunastu sekund byłem na miejscu. Rozglądam się wszędzie, obchodzę obie w mowie będące sosny: ani śladu, ni pierza, ni farby, — nic! Może umysłowe moje stępiły się władze, może zmysły osłabły? Trzeba sprawdzić, czy nie zmyliłem kierunku: wracam na stanowisko; nie — widzę dokładnie: na tej sośnie strzelony, na tej oto drugiej chciał siadać. Szukam dalej, zataczam jeden poszukiwania krąg, rozwijam je w dalszym, szerszym — wszystko napróżno — widocznie popędził po ziemi, zanim przybiegłem. Trzeba się z losem pogodzić; ach ta rezygnacya! Jakąż gorzką przedstawia pociechę!

Nie — lepiej gniewać się na siebie, nad sobą się znęcać, wyrzuty czynić: źle się stało, o źle! Tok jutrzejszy zepsuty, hałasu dużo, głuszec przepadł, na jutro małe widoki powodzenia.

Gdy tak zrzędzę, zupełnie przytem nie parlamentarnych używając wyrażeń, których jednak pragnę oszczędzić łaskawym, na moją niedolę, a cierpliwym na rozwlekłość opowiadania czytelnikom — z przyzwyczajenia rozglądając się po lesie, już nie za głuszcem, bo smutna ta karta historyi, jak sądziłem, zamknięta, — widzę jamę lisią a przynajmniej zagłębienie ją przypominające, ale zakryte. Cóż u dyabła, jama a pełna? Jama powinna być jamą, więc próżną! Ciemno już bardzo, nie rozpoznając tedy, co tworzy jamy przykrywkę, zamierzam ją nogą potrącić... Zanim nogę podniosłem, przykrywka w górę się wznosi a ją tworzący, czarny mój pan dobrodziej w szalonym pędzie wypada, głowa do góry, ogon w wachlarz i „co która nóżka wyskoczy“.

Hola, bratku! teraz ja będę miał ostatnie słowo: w drugiej lufie jest ładunek, jako kara za taką wyrafinowaną przewrotność. Lecz to się dzieje na tokach; już i tak dość hałasu — trzeba się najpierw w pierwszym pościgu zmierzyć z przeciwnikiem. Zwycięstwo, jak zwykle, po stronie człowieka. Wprawdzie niełatwo dopadłem tego dziwnego piechura, lecz on fizycznie postrzelony, ja tylko moralnie zgnębiony przebytą troską. Jeszcze fortelu kogut próbował: schował się za grube drzewo i dopiero po uciążliwem, około pnia karuzelowaniu, pozwolił się pochwycić, rażąc mnie przytem potężnemi swemi skrzydłami. Niezwykła to była przygoda, pouczająca o sprycie tego ptaka, który w szybkiej ucieczce, postrzelony, więc słabszy, skorzystał z czeluści w ziemi, by się w niej ukryć i głowę schować, od strusiów pożyczając znanej, przysłowiowej sztuczki.

W dniu 3 maja kara za wczorajsze niespokojne awantury — głuszec wysłuchany z wieczora, ani dzioba nie otwiera, przewodnik zaręcza, że niedaleko wczoraj zapadł — czekam długo, do świtu — nic. Gajowy wreszcie, nie chcąc mnie zostawić pod wrażeniem nie dość dokładnych wysłuchów, spostrzega milczącego koguta. Ja go widzę: „robi butelkę“ i jaką jeszcze, beznadziejną! Z tego sądząc, nawet przypuścić nie można, by głuszec ten prócz „butelkowania“ mógł mieć cokolwiek innego na myśli — ale siedzi. Wypadałoby tedy zawrócić i nie płoszyć go, boć przecież niedopuszczalną myśl, by niegrającego głuszca podchodzić. Właściwie jednak nie mam nic do stracenia, jeżeli to wskutek wczorajszego strzału, jedno spłoszenie więcej lub mniej — nie zrobi różnicy.

Pożyczając tedy z niecnej, kłusowniczej praktyki, dobrego niekiedy sposobu odwrócenia uwagi zwierza w drugą stronę, by go z pierwszej podejść, posyłam gajowego w prostym kierunku, dając mu znak, by dość głośno odejście udawał, a sam porywam się na podchodzenie najostrożniejszego ptaka, jak gdyby tu chodziło o sojkę, gołębia, a co najwyżej jastrzębia. Kto pomógł, kto ułatwił, kto poradził, nie wiem i wiedzieć nie będę, dość, że podpełzłszy na metę około 70 kroków i tym głuszcem wzbogaciłem rozkład.

W dniu 4. maja, moim czwartym i ostatnim poranku, przecież jeden gracz okazał się jeszcze dość w swej sztuce biegłym.

Podskakiwałem doń bez trudności a na karb spóźnionej pory kładę, iż ten kogut, jakkolwiek melodyjnie dość ożywiony, śpiewał zupełnie spokojnie, bez żadnych kontorsyi, tańcu i innych podobnych dziwaczności, do chwili strzału, który go dosięgnął w połowie pieśni, nie pozwalając mu jej dokończyć. Musiał to być faworyt nie jednej kurki, postradał bowiem z nadmiaru tokowania wszystkie boczne na łapach narostki, jednem słowem, można o nim powiedzieć, że był „wytokowany“, nadto w walkach z rywalami postradał brodę i w miejscu jej, dobrze widoczną świecił łysiną.

Po tym, a więc piątym głuszcu, by się kukułcza wypełniła wróżba, wstałem od tej tak wspaniale zastawionej myśliwskiej biesiady, której treścią było sześć głuszców ogólnego rozkładu, by w innego rodzaju godach wziąć jeszcze udział, godach turystycznych, na silnym jednak podkładzie łowieckim.

Mam tu na myśli zwierzyniec „Pilawin“, założony niedawno przez hr. Józefa Potockiego, w lasach Piszczowskich, obejmujący 6.000 morgów ogrodzonej przestrzeni.

Nie wdaję się w szczegółowy opis tego wspaniałego przedsięwzięcia, nigdzie dotąd u nas, z tak szerokim, dla łowieckiego świata, rozmachem, nie prowadzonego, odsyłając łaskawych czytelników do numerów 1-go i 2-go „Łowca“ z roku bieżącego, w których nadleśny tamtejszych lasów, Pan Romuald Sokalski, w sposób barwny i niezmiernie zajmujący, skreślił historyę założenia zwierzyńca, pierwsze, około jego zaludnienia, czynione kroki i wyprawy w tym celu podejmywane, pragnę natomiast skreślić wzmiankę osobistych wrażeń i zdać sprawę o teraźniejszym zwierzostanie.

Zadziwiającą jest przedewszystkiem skala, na jaką zakrojone jest to śmiałe przedsięwzięcie, gdy w tak olbrzymiej przestrzeni, rozmnaża się łosie, jelenie Wapiti, tak kanadyjskie jak syberyjskie, t. z. „marale“, sarny sybirskie (Capreolus pygargus), i inne w krajach naszych nieznane a klimat wytrzymujące cerwidy (byle nie daniele, jelenie, dziki, gdyż hr. Potocki pod żadnym warunkiem nie wprowadziłby do zwierzyńca zwierząt, w naszych krajach prawo obywatelstwa mających) — jakże ponętnie przedstawia się w przyszłości tam rykowisko, pochód na tak wspaniałe a rzadkie zwierzęta; — co więcej, gdyby komu kiedyś na myśl przyszło oparkanienie rozgrodzić, doprawdy, nie zbyt śmiałem twierdzenie, że tamtejsze bory znajdą się w posiadaniu łosi, wapiti, pygargusów itd. niemających bynajmniej powodu do emigrowania, już przyzwyczajonych do tutejszych warunków, które znajdą się na miejscu w tych olbrzymich, niedostępnych przestrzeniach, jak niemniej, na całem przyległem Polisiu.

Zwierzyńce, ogrody zoologiczne, parki, to rzeczy znane — ale zwierzyniec, tak na dziko zaprowadzony, jak Pilawiński, nietylko u nas będzie jedyną tego rodzaju próbą, ale na całym świecie. Niech mi kto n. p. wskaże zwierzyniec, któryby przy sprowadzonym i hodowanym zwierzu, zawierał w sobie głuszce, żórawie, czarne bociany? A właśnie Pilawin pod tym względem będzie niedościgniony; na głuszce, owe najdziksze, najbardziej od kultury i cywilizacyi stroniące ptaki, poluje się na toku w tym zwierzyńcu; dowodem istnienia najniedostępniejszych moczarów, są stale gnieżdżące się w Pilawinie żórawie!

Drzewostan wspaniały, przeważnie szpilkowy, składający się z prastarych, niebotycznych, masztowych sosen, z liściastych drzew przeważa dąb; wszystko lekko podszyte leszczyną, olszyną i innymi, niskopiennymi krzewami, między którymi gąszcze azalii (azalea pontica), tej samej naszej, cieplarnianej azalii, dziko rosnącej, czyżby podczas najazdów Tatarskich w obrokach końskich, tu zaprószonej?

Wspomniany drzewostan, nieco za jednostajny przedstawiający obraz dla oka, już je dziś rozmaitością pieści: oto wycięto nader umiejętnie kilku i kilkunastomorgowe przestrzenie na polanki, obsiewane trawami, zbożem lub innego rodzaju karmą, korzystano z dwóch przepływających knieją potoków, by je zmusić do utworzenia jezior leśnych, porobiono przecinki, przeprowadzono całą sieć malowniczych dróg, tak że dziś nie widząc nawet zwierza, roskoszować się można pięknymi widokami, z głuchej puszczy, wjeżdżając na twory rozbujałej fantazyi, artystycznie wykrojonych obrazów, a z wielkim dla zwierza wymyślonych pożytkiem.

Byłem szczęśliwszym i nie tylko obejrzałem ludzkiej twórczości dziwy, lecz nadto roskoszowałem się zwierzyńca treścią: oto zbliżamy się do jednego z jezior, na przeciwległym brzegu łoś stoi; płaszcz czarny, oświetlony zachodzącego słońca promieniami, odbija wyraźnie od jasno płowych badylów, powtórny obraz dziwnego zwierza spostrzegać się daje w przeźroczystych falach jeziora, powiększających nad miarę i tak już widoczny garb zwierzęcia; śmiesznie wydłużonymi chrapami stara się uchwycić listki zaledwie rozwijającej sie olszyny. Przez szkła rozpoznać można dwa ciemne guzy, zapowiadające róże przyszłych rogów, jego pierwsze ozdoby: to bowiem łoś dwulatek, nie mający jeszcze rogów. Dalej dwa jelenie-wapiti kroczą poważnie, ku wodzie zmierzając; pierwszy o zrzuconym jednym rogu, drugi w pełni wieńca. Mówią mi znawcy, że jeden z nich to syberyjski maral, cervus asiaticus, drugi ma być amerykańskim, cervus canadensis.

Wierzę na słowo, ale tak te dwa typy do siebie podobne iż byłbym w niemałym kłopocie, gdyby mi je rozpoznać kazano; ta sama wydłużona, zgrabniejsza aniżeli u naszego jelenia, głowa, ten sam płaszcz czerwonawopłowy, ten sam zupełnie widoczny ogonek, okolony jaśniejszym talerzem, daleko, aż ku grzbietowi zdążającym. Jeszcze dalej stoi łania, maralka, zapewne cielna, przeto ostrożniejsza. Wreszcie, jak gdyby dla stwierdzenia wszędzie tu panującego kontrastu; przyrody dzikiej, rządzącej niepodzielnie, w walce z przyrodą, skrępowaną uporem człowieka, jego wiedzą, żądzą nad jej tworami panowania, porywa się z wody tubylcza para dzikich kaczek podgorzatek.

Łosi w zwierzyńcu było już dwadzieścia sztuk, niestety dwie sztuki padły od zbrodniczej, kłusowniczej broni, kilka sztuk zginęło tej zimy, jest przecież jeszcze 14, z których trzy klempy cielne. Dalsze transporta łosi są spodziewane z Polisia, ordynacyi Nieświezkiej, Ołyckiej itd. Podobnież w drodze do Pilawina są jeszcze jelenie kanadyjskie, syberyjskie i nigdzie dotąd na kontynencie nie spotykany, jeleń kamczacki (Cervus Dybowskii). Gdy do tych spodziewanych przesyłek dodamy jeszcze, że dwie kanadyjskie łanie, jedna maralka i jedna łania krajowa (jedna swego rodzaju dla krzyżowania z wapiti) spodziewają się również potomstwa, możemy śmiałym zamiarom najpiękniejsze rokować nadzieje. Dwa rogacze (Pygargus) nietylko mogą, łącząc się z kozami naszych sarn, w zwierzyńcu przypadkiem zamkniętemi, wytworzyć nową silną sarn rasę, ale również otrzymają samice swego szczepu, by wzbogacić inwentarz Pilawina.

W drodze z objazdu powrotnej, marząc o wspaniałościach przyszłego tu zwierzostanu, jak gdyby na przestrogę podpisanemu korespondentowi, by nie przepomniał, iż cechą wszechładnie tu panującą jest, dzikość — widzimy o kilkanaście kroków od drogi, na niskim konarze, coś bardzo dzikiego i drapieżnego; w drapieżniku poznaję orła przedniego (Aquila fulva); obżarty, ciężki, zaspanym nas obejmuje wzrokiem. „Królestwo za strzelbę!“ — nie potrzeba królestwa, oto strzelba, jak zawsze, w tak ciężkiej potrzebie, w pałacyku myśliwskim, bezczynnie spoczywa!

Na tem kończę, tak miłemi pieszcząc się wspomnieniami, odświeżony wrażeniami łowieckich wspaniałości tu widzianych, powracam do trybu codziennego życia; z uwagi zaś, że wspomnienia, to druga połowa wrażeń przeżywania, powierzam je czcionkom w nadziei, że niejednego z pod sztandaru św. Huberta zaciekawią i łaskawie przezeń do wiadomości będą przyjęte.

W Niedźwiedziu, dnia 10. maja 1904.

Antoni Kazimierz Wodzicki.

Przez letnią noc.

Po lustrze modrych fal,
Parowiec mknie miesiąca
I płoszy łodzie gwiazd
I zwoje chmur roztrąca,
Obłoków bucha kłąb,
Srebrny się warkocz snuje,
A okręt modrą głąb
Złocistą piersią pruje
I płynie w senną dal,
Jak delfin w morzu sinem,
Mkną z drogi roje gwiazd,
Jak rybki przed delfinem!

W potokach srebra las
Się topi i rozpływa,
Jak lity słucki pas
W wstęgę się złotą zlewa!
Na skrzydłach wiatru pieśń
Wleciała w drzew kolumny,
Zaszumiał głośno bór,
Dąb stary zadrżał dumny
I strząsnął starą pleśń
I buki mu wtórzyły

I w jeden wielki chór
Swą dumkę olchy wiły.
Z blondynek pieśnią brzóz
Gromady smukłych klonów,
Nad rzeczką chwiejnych łóz,
Z wiązanką sosen tonów;
A drobny krzewów rój,
Gotyckie świerków wieże
I leśny cichy zdrój,
Szumiały swe pacierze!

Jak sokół pośród chmur
Po srebrnych buja stokach
I ślady swoich piór
Zostawia po obłokach,
Tak wiatr po lesie wiał
Pomiędzy drzew konary
I drobnem liściem siał
I biegał przez bór cały,
Aż w końcu pomknął w dal,
By ze snu budzić zboża,
Wśród żytnich igrać fal,
Pszeniczne budzić morza,
A las stopniowo mdlał,
Zawijał się w mgły senne;
Już jawor cicho stał
I krzaki niskopienne,
Już zasnął stary dąb
I olcha w mgle zasnęła,
W oparach śpi już zrąb,
Bór cały noc objęła!
Jedyny jeden liść
Pocichu jeszcze dysze,
Osiki jeszcze kiść
Się trzęsie i kołysze
I drzewo szczerze łka,
Różaniec swój przesuwa
I paciorkami drga
I modli się i czuwa!
Nakoniec nocy duch
Zlitował się nad drzewem,
Obwinął je w mgły puch,
Piór czarnych swych powiewem!

Tak zasnął cały świat,
Nadeszła ciszy chwila,
Śni słodko każdy kwiat
Kołysan przez motyla!...
A statek złoty mknie
I bucha chmur kłębami
I piersią błękit tnie
I płynie nad górami!
Z światłością zlanych dróg
Zmykają gwiezdne łodzie,
A dumny statku róg
Przeczysty błękit bodzie!

Albert Mniszek.



Korespondencye.

Grojec 20. maja 1904.

Rok 1903 był nader ciężkim dla rolnika, leśnika i łowca. Pomijając ogromne straty dwóch pierwszych, jako nie należące do łamów cennego *Łowca*, trudno przemilczeć zawiedzione nadzieje i nieobliczalne straty w dziedzinie zwierzyny łownej. Czego nie zniszczyły mrozy i śniegi wiosenne (20. kwietnia spadł śnieg 150 cm. grubości, który 5 dni leżał), to padło ofiarą zimnego mokrego maja, czerwca i lipca, dwukrotnej powodzi i gradu. Nie tylko zwierzyna wcale się nie rozmnożyła, ale nawet obsada zajęcy, bażantów i kuropatw zdziesiątkowana, a szczególniej kuropatw było w sierpniu znacznie mniej, niż ich przezimowano, a i to w większej części same koguty. Najlepszy obraz da poniżej podany wykaz zwierzyny, zabitej w dobrach Grojec w czasie od 1. lutego 1902 do końca stycznia 1903.

Ogólny obszar rewiru wraz z dzierżawionem polowaniem na gruntach włościańskich 2010 ha., w tem około 120 ha. lasu.

Padło: wydry 2, rogaczy 3, zajęcy 65, cietrzewi 4, bażantów 8, kuropatw 10, derkaczy 2, grzywacz 1, kszyków 15, kulonów 4, kaczek 468, nurków dużych 6, kurek wodnych 8, bąków dużych 4, czapli 6, bocianów 7, jastrzębi 7, sów 4, wron 47, srok 21, psów 10, kotów 8.

Wynik ten, szczególnie co do zajęcy, bażantów i kuropatw (z tych dwóch ostatnich odstrzelono jedynie nadliczbowe koguty) daje zaledwie $^1/_{20}$ część przeciętnego rezultatu 10-ciu lat ubiegłych.

Jedynie kaczki stanowiły wyjątek, lecz powodem pomyślniejszego wyniku nie wyląg miejscowy, który był także znacznie słabszy, tylko niezły przelot w końcu sierpnia i września, na którym największą część strzeliłem.

Rok 1904 zapowiada się dotychczas znacznie lepiej, jakkolwiek dosyć chłodny lecz suchy. Jedynie zbyt wczesne zające (pomiot z lutego) w pierwszej połowie marca w znacznej części wyginęły, i tak znalazłem 1. marca, cztery młode, kilkudniowe zajączki zmrożone, podczas gdy starsze, w ten czas już kilkotygodniowe, widocznie zimna te przetrzymały, bo się je często spotykało. Jeżeli więc dalsza wiosna i lato dopiszą, to jest przynajmniej nadzieja powetowania przeszłorocznych strat w zającach, bo co do kuropatw, to w najlepszym razie ledwie za parę lat do dawnego stanu dojdziemy, osobniki bowiem, które dwa lata zimna i słoty przetrzymały, są to stare, wprawdzie odporne, lecz w znacznej części jałowe weterany, trzeba więc najściślejszej ochrony, by się czego w lat parę z młodego pokolenia dochować.

A teraz proszę Szanownych Kolegów w św. Hubercie, mających częściej, niż w naszej okolicy możliwem, broń kulową w użytku, o wytłómaczenie następującego faktu: W dniu 17. maja b. r. strzeliłem na wychodnego tęgiego rogacza szóstaka, 25 $^{k}/_{g}$ wagi. Broń trójlufek, kaliber 11·2 $^{m}/_{m}$, Express nr. 50 Kropatschek, kula pełna, proch zwykły, czarny myśliwski, odległość 73 kroków, strzał z góry ku dołowi wysoko w komorę, przeszedł oboje płuc o 2 $^{c}/_{m}$ poza sercem. Rogacz padł z dymem, tak nagle bez ruchów agonii, że wobec dymu, zmroku i małej łączki wśród drzewostanu, na której go strzeliłem, nie widząc by padł, byłem przekonanym, że poszedł i nie mogłem go w niskiej trawie leżącego, nawet przez lornetkę dopatrzyć. To piorunujące działanie kuli częściej się jednak zdarza, ciekaw-

szy wynik dały dokładne oględziny: podczas gdy wylot kuli odpowiadał wielkością swą zupełnie jej kalibrowi, natomiast wlot był cztery razy większy, a na brzegach jego strzępy płuc i złamanych żeber. Wynik działania kuli wprost przeciwny dotychczasowym doświadczeniom, gdyż wylot kuli a nie wlot, zwykle te znamiona posiada. U nas brak grubszej zwierzyny do częstszych doświadczeń z bronią kulową. Kilka strzałów rocznie do rogaczy, to całe pole popisu dla sztućca myśliwskiego. Wprawdzie rok rocznie padnie od mej kuli kilkadziesiąt szkodników, psów, kotów, bocianów, czapli, wron, srok, jastrzębi, łysek i t. p., ale tylko z 5-cio milimetrowego repetierka Colta. Broń to do tego celu doskonała, nadzwyczaj celna i cicha, nie niepokojąca rewiru w czasie wiosennego lęgu, w którym szkodniki najbardziej tępić należy, a jakkolwiek bije do 200 kroków nadzwyczaj celnie i ostro, to jednak wobec małego ciężaru kuli, za mała siła żywotna, by można strzał z pewnym skutkiem choćby do rogacza ryzykować. Będąc w maju przeszłego roku na tokach cietrzewi w Chrzanowskiem, strzeliłem jednego rana z repetierka tego 5 kogutów, na odległości 47 do 126 kroków (naboje długie, long 22, proch bezdymny „Smokeles“, kula ekspansywna) wszystkie kule przeszły na wylot, nie rozbijając się i mało deformując, bo wylot był mało co większy od wlotu, a strzelone sztuki w ogniu padły.

Broń ta, jak również repetierek Marlina i automatyczny Jhonstona, są polecenia godne, nie tylko do wprawy w strzale kulowym i to podczas martwego sezonu, ale także nadaje się znakomicie do tępienia szkodników, czy to skrzydlatych, czy mniejszych czworonogów, psów, kotów i t. p., strzela bowiem do 200 i więcej kroków niezmiernie ostro i centrownie, nie niepokoi rewiru, bo strzał znacznie cichszy, niż ze zwykłego flobertu, a amunicya bajecznie tania, 100 naboi 1 złr. 30 ct.

Jan Chwalibóg
delegat bialski.

Makuniów, 22. maja.

Dni temu kilka strzeliłem do wielkiego starego rogacza. Strzał był bardzo niefortunny, kula strzaskała mu tylny badyl w udzie. Rogacz umknął w gąszcze a ja posłałem za nim sukę moją legawą, która będąc doskonałym wyżłem, pełni też równie dobrze służbę tropowca i w podchodnych polowaniach na rogacze całe lato jest moją nieodstępną towarzyszką.

Po chwili usłyszałem zajadłe szczekanie psa, na parowie nad łąką. Nim jednak tam z leśnym zdążyłem dojść — szczekanie zmieniło się nagle w głośne i bólu pełne skomlenie, które po chwili ustało zupełnie, a wkrótce potem spotkałem idącą powoli na trzech nogach, całkiem krwią zbroczoną sukę.

Ta zwykle jak śnieg biała, z kilkoma małymi bronzowymi płatami, wyglądała teraz jakby ją kto na czerwono pomalował.

Po dokładnych oględzinach przekonałem się, że farba ta pochodziła zapewne i z rogacza, ale głównie z rany głębokiej, jaką miała w łopatce tylnej a zadanej jej rogami rogacza. Tem się tylko może tłumaczyć nagłe skomlenie suki i porzucenie przez nią postronka, który też po dziś dzień odnalezionym nie został.

Szkoda — bo rogacz wspaniały a rogi byłyby jedne z najokazalszych w moim dotychczasowym zbiorze. Szczęściem jednak, że katastrofa ta nie przybrała większych rozmiarów, gdyż prócz rogacza mogłem stracić i doskonałą sukę, wiernego towarzysza i przyjaciela. *Albert Mniszek.*

Drobne ogłoszenia.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**